



Komentatorzy wieszczą koniec SLD porównując waszą partię do "masy upadłościowej".
Jerzy Wenderlich: Każdy może mówić, co chce i niech to trwa jak najdłużej. To świadectwo ugruntowania demokracji.

- Czy komentarze są przesadzone?

- Gdybym tak powiedział, to przyznałbym, że coś jest na rzeczy. Prawdą jest jedynie to, że kondycja Sojuszu Lewicy Demokratycznej bardzo różni się od tej z 1993 lub 2001 roku, kiedy rządaliśmy. Sojusz dalej działa i wiele dobrych rzeczy jeszcze przed nami. Kiedy Polacy tak naprawdę z dystansu ocenią nasze rządy z tamtych lat - wprowadzenie Polski na znakomitych warunkach do Unii Europejskiej, to dojdą do wniosku, że nasza formacja, choć wewnątrz popełniała błędy dotyczące stylu działania, dobrze służyła Polsce.

- Czym wytłumaczyć to, że niektórzy działacze uciekają z SLD do Ruchu Palikota?

- Takich ludzi nazywam poszukiwaczami szans. Wielu zakochuje się w partii ze względu na jej pozycję w sondażach, a nie z przekonania.

- Mielście kiedyś 40-procentowe poparcie.

- W tamtych czasach, kiedy były moje imieniny, a na dodatek kierowałem partią w województwie i byłem w zarządzie krajowym, to było dużo chętnych do wręczania mi kwiatów i składania życzeń. A kiedy poparcie zwiędło, życzenia składali mi nieliczni. Byli to prawdziwi przyjaciele. Takie jest życie.

- Może ratunkiem dla SLD byłaby współpraca np. z Ruchem Palikota?

- Nie chcę wypowiadać się o kimś, kto założył ruch do popierania własnej osoby. Natomiast z tymi, którzy poważnie chcieliby po lewej stronie współpracować - trzeba rozmawiać.

- Wiem, że nie jest pan wrózką, ale w sobotę wybory szefa SLD. Problemy partii udźwigną szerokie barki Ryszarda Kalisza czy doświadczenie Leszka Millera?

- Jest kilka osób, które mogłyby pełnić tę funkcję. Poczekajmy do soboty.

(www.sld.org.pl, za "Gazetą Pomorską", 7 grudnia 2011 r.)